

AGNIESZKA SZUBERT

**MORDERSTWO
NA SŁODKO**



AGNIESZKA SZUBERT

MORDERSTWO

NA SŁODKO



© Copyright by Agnieszka Szubert & e-bookowo

Korekta: Marta Bluszcz

Skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Agnieszka Szubert

ISBN e-book: 978-83-8166-494-3

ISBN druk: 978-83-8166-495-0

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Ten e-book jest zgodny z wymogami
Europejskiego Aktu o Dostępności (EAA).

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.
Wydanie I 2025

1.

Wpatrywałam się w widok za oknem, próbując zebrać myśli i nie patrzeć na bałagan, który doszczętnie zawładnął moim mieszkaniem. Krajobraz przesłaniał mi jednak padający intensywnie deszcz. Październikowa aura zwiastowała same kłopoty, bo depresyjne jesienne przesilenie coraz głośniejsze pukało już do moich drzwi. A poszło won! – pomyślałam ze złością.

Właściwie i tak nie było co oglądać za szybą. Wieczorami, przy czystym niebie, i owszem. Mieszkanie na samym końcu miasta, gdzie wielkomiejska zabudowa już niemal całkowicie ustępowała miejsca pustce, miało swoje zalety. Jedną z nich były zachody słońca – codzienny kolorowy spektakl mieszaniny czerwieni i niebieskiego. Jakby ktoś co wieczór wylewał nową paletę farb na płótno. Z mojego siódmego piętra pejzaż był niezmiernie piękny. W ciągu dnia jednak trudno tu było poczuć atmosferę zen, która aktualnie wybitnie była mi potrzebna.

Za oknem deszcz rozmazywał obraz, w przeciwieństwie do kursora na ekranie mojego laptopa, bardzo wyraźnie mrugającego do mnie w niemym zapytaniu: „Co, weny nie ma?”. „Terminy gonią?” – zakpił po raz kolejny z cynicznym uśmieszkiem. Słowo daję, jestem pewna, że z jednej strony lekko wygiął się w łuk.

A wszystko przez mojego męża. Cały ten bałagan zaczął się właściwie z jego winy. Gdyby nie wymyślił sobie, że akurat teraz złoży te cholerne szafki, gdyby znalazł sobie inne zajęcia... Ale od początku.

– Błagam, czy ty nie możesz być jak każdy inny normalny mąż? – wyjęczałam, wchodząc do zabałaganionej kuchni zrobić sobie kolejną kawę. Tak jakby jakikolwiek płyn mógł mi wyciszyć głowę i wspomóc w pisaniu.

– A nie jestem normalny? – zapytał mój spracowany małżonek.

– Chodziło mi o to, że zwykle zanim facet się za coś zabierze, mija pół roku i trzeba mu polecenie wyartykułować przynajmniej dziesięć razy.

– Kiedyś mówiłaś, że byś tak nie chciała.

– No tak, ale tym razem jest inaczej, ponieważ mam pewne zobowiązania. Na rower nie masz ochoty? Odpocząć ode mnie? – podsunęłam z nadzieją.

– Przecież dopiero przyjechałem. Już masz mnie dość? Podobno tęskniłaś – zaśmiał się małżonek.

Oczywiście, że nie miałam go dość. Ja tylko desperacko pragnęłam, aby moja głowa znowu zaczęła działać.

Przeskakując przez rozłożone kartony, turlające się śrubki i wyciągnięte nogi mojego męża, dotarłam do resztek starego blatu oraz stojącej na nim ulubionej kawiarki. Odkąd zażyczyłam ją sobie od mikołaja, już we wrześniu, nie piłam żadnej innej kawy niż przyrządzonej w tym fantastycznym urządzeniu. Mikołaj bowiem przychodził do naszego domu, gdy była potrzeba, a nie według kalendarza.

Zanim przejdę dalej, muszę wytłumaczyć, że naszym tymczasowym domem jest kawalerka o szaleńczej powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych. No cóż, taki etap. Mówią, że życie zaczyna się po czterdziestce, a potem jeszcze raz po pięćdziesiątce. My jesteśmy w tej drugiej grupie wiekowej, a nasza rzeczywistość od kilku lat robi fi-kołki, pręży się jak gimnastyczka, a następnie ponownie zastanawia, co będzie kolejne – piruet czy salto. I wszystko to oczywiście wyłącznie na nasze własne życzenie. Tym razem jesteśmy na etapie oczekiwania na odrobinę większe mieszkanie tuż za miastem, w którym w końcu będę miała swój własny gabinet do pracy. O, dzięki ci, bobrze!

Wracając jednak do tej kawalerki – z racji wielkości zwykle przejście pomiędzy najbardziej oddalonymi kątami wynosi zaledwie kilka kroków. U nas dokładnie pięć, policzyłam. Niewiele, ale głównie z uwagi na fakt, że wpakowałam do tego naszego jedyne go pokoju wielkie łóżko i bieżnię. Kategorycznie bowiem odmówiłam ugniatania mojej zaawansowanej dyskopatii na rozkładanej kanapie. Kto kiedykolwiek doświadczył tego problemu, wie, jak taka dolegliwość potrafi wyłączyć z życia.

Co do bieżni, to mój mąż zagryza zęby i wykorzystuje ją w charakterze wieszaka na ubrania. Ale ja naprawdę na niej chodzę, dla zdrowotności, kiedy go nie ma. Przysięgam!

No dobra, bo chyba zgubiłam wątek. Wrócę więc do tego, że stoję z moją kawiarką pośród kuchennego bajzlu, którego geneza jest bardzo prosta – zażyczyłam sobie

nowe meble do pomieszczenia, w którym zwykle osobiście parzę tylko kawę, a pozostałych czynności unikam jak ognia. Oczywiście możecie uznać, że w tej sytuacji bałagan jest moją winą. Tu się jednak nie zgodzę. Przecież można było przywieźć te paczki później, kiedy już skończę pisać książkę, dać mi popracować, a nie pchać się ordynarnie z wkrętarką i uprzykrzać proces myślenia. Bo gdzie ja biedna mam pisać? U sąsiadki?

– Dziubku – postanowiłam się trochę podlizać, chociaż babskie gierki u mojego męża absolutnie nie przechodziły. Wyczuwał, skubany, na kilometr. – Wiesz, że mnie termin goni? Wydawca wiadomości śle. Rozdziały prosi, grzecznie na razie. Ja w takich warunkach nie mogę się skupić.

– A w jaki sposób ja ci przeszkadzam? – odpowiedział zupełnie niezrażony.

Cóż za idiotyczne pytanie. Jak to w jaki? Hałasem, odgłosami osobistymi, obecnością, robieniem wiatru przy poruszaniu się, czyli w każdy dosłownie sposób.

– Dźwięk tej twojej wkrętarki wżyna mi się w mózg. Wibracji jakiejś dostaję i myśleć nie mogę – wycedziłam, siląc się na uśmiech.

– Słuchawki sobie nałóż i puść coś. – Moja brzydka połówka jak zawsze tryskała pomysłami.

– Co za różnica, czy ryczy mi do głowy muzyka, czy wkręca się ten twój... sprzęt.

– Przecież sama te meble chciałaś – odpowiedziała dumnie miłość mojego życia. Chociaż raz mógł zwalić winę na mnie, ale niedoczekanie jego.

– Przecież nie powiedziałam, że już natychmiast. Mogliśmy poczekać, aż skończę książkę, postawię ostatnią kropkę i wyślę te moje wypociny do wydawcy. A tak – siedzę z tym trupem, wpatruję się w niego i za nic nie wiem, co zrobić.

– Trudno byłoby znaleźć odpowiedni moment, ponieważ po pierwsze mnie często nie ma, a po drugie ty wiesz, że coś piszesz, jak nie jedną książkę to inną, a potem teksty na social media... A trupa zdecydowanie radzę zakopać. – Końcówkę wypowiedzi wysapał, przykręcając kolejną śrubkę.

Też mi doradca. Pff. Kawiarka, pierdząc, oznajmiła, że napój jest gotowy do nalania. Nie byłam jednak pewna, czy podnoszenie sobie ciśnienia w obecnej sytuacji było dobrym pomysłem. Wyłączyłam płytę indukcyjną, sięgnęłam po swój ulubiony kubek i spojrzałam na mojego majstrującego mężczyznę z mordem w oczach, wyobrażając sobie jego w roli tego nieboszczyka, z którym – z racji braku możliwości skupienia – miałam aktualnie kłopot.

– Tylko że to nie ja zabiłam, dlaczego więc mam zakopywać? Zaraz ochoczo uznają mnie za winną. Poza tym nieżywych ludzi się brzydzę – zawiesiłam się na chwilę, bo po głowie błąkał mi się już pewien pomysł.

– Zadepczesz. – Mój mąż pyrgnął mnie w nogę.

– Skoro mam awersję, to na pewno nie będę po denacie deptać, fuj! – parsknęłam z obrzydzeniem

– Instrukcję mi zadepczesz. – Wyszarpnął jakąś kartkę spod mojej stopy odzianej w kłapek Kubota.

- Ani trochę nie pomagasz – odpowiedziałam urażona.
- Za to ty byś mogła pomóc.

Oczywiste było, że da sobie radę sam, ale moja obecność zwykle poprawiała mu humor. Tym razem postanowiłam jednak nie dać się wkręcić w rolę asystentki. Na szczęście nie musiałam wyklądać na stół żadnych wymówek z książką na czele. Zresztą i tak obaliłby ten argument, skoro nie mogłam się skupić na tyle, aby wymyślić idealny sposób pozbycia się trupa... A może by go tak w walizkę? Nie, wtedy należałoby rozczłonkować, a to jeszcze bardziej obrzydliwe.

Mój telefon wściekle się rozdzwonił. Złapałam swoją kawę i jak czapla, omijając rozłożone elementy wyposażenia kuchennego, przeszłam do pokoju. Pomimo usilnych starań, by ignorować bałagan panujący w mieszkaniu – włącznie z próbami udawania nagłej utraty wzroku – tym razem musiałam się z nim zmierzyć. Odnalezienie ratującego mnie z opresji urzędnika okazało się zadaniem na miarę ukrycia zwłok. Co prawda mój małżonek starał się na bieżąco wynosić stare szafki, zastępując je nowymi, ale całe wyposażenie kuchni, którego jako kiepska kucharka używałam niezmiernie rzadko, walało się aktualnie nie tylko w każdym kącie, ale i na samym środku. Matko, jak ja nienawidziłam bałaganu!

Dodatkowo brak miejsca sprawił, że nie miałam gdzie rozłożyć maty i wykonać ćwiczeń zaleconych mi przez regularnie znęcającego się nade mną rehabilitanta. Brak

gimnastyki, konieczność pokonywania wielu przeszkód i pochylania się w poszukiwaniu wrzeszczącego telefonu sprawiły, iż mój kręgosłup boleśnie zakomunikował sprzeciw wobec takiego stylu życia. Jedynie Antek, nasz półtoraroczny devon rex, poruszał się z gracją po tym pobojuwisku. Odniosłam nawet wrażenie, iż czerpał z niego przyjemność. A mówią, że koty nie lubią zmian. Posiadanie odznaki członka naszej rodziny sprawiało jednak, iż określenie „zmiana” było wpisane także w jego kocie życie.

Nie musiałam się zastanawiać, kto próbował się do mnie dobić. Wygrywany w kółko utwór, ustawiony specjalnie pod dzwoniącego, głośno i wyraźnie powiadomił mnie o tym spod sterty talerzy, do własnych wibracji dodając charakterystyczny dźwięk brzęczącej porcelany.

– Cześć, sis – mruknęłam do głośniczka, kiedy w końcu wydobyłam telefon.

– A coś ty taka zrzędliva? – zapytała moja jedyna siostra. W tle słychać było szum. Prawdopodobnie dzwoniła z auta, wracając z pracy w pobliskiej szkole.

– Nie potrzebujesz czegoś pilnie naprawić, wywiercić albo przebudować? Ale tak naprawdę na wczoraj.

– Nie, a co?

– Bo mój mąż jest w amoku skręcania nowej kuchni, a ja potrzebuję chwili ciszy. Muszę coś zrobić ze zwłokami, a kompletnie nie mam na nie pomysłu.

– Niestety, ani z trupem, ani z mężem ci nie pomogę, chociaż mam nadzieję, że oba te określenia nie oznaczają

jednej osoby. Chyba, że to ty zabiłaś. Wtedy wchodzę w to. Nie mogę pozwolić, żebyś trafiła do więzienia. Teściowa ma duży ogródek. Tam możemy go zakopać.

– Na szczęście jeszcze nie popełniłam żadnej zbrodni, ale jestem blisko... bardzo blisko. Termin mnie goni, a w tym hałasie i bałaganie kompletnie nie mogę się ogarnąć – jęknęłam teatralnie z rozpaczą.

– To dlaczego gdzieś nie wyjedziesz? – podsunęła mi moja siostra.

Tutaj się na chwilę zatrzymam, ponieważ właśnie znalazłam kolejną winną tego wszystkiego, co wydarzyło się później. Moja siostra mogła przecież wymyśleć jakiś rzucający iskrami kontakt, który bez interwencji mojego małżonka niechybnie przyczyniłby się do śmierci jej psa, jednego z trzech kotów, męża lub – nie daj boże! – którejś z córek. Ewentualnie spadający na głowę tynk (taką rzecz mogła załatwić sama – kijem od mopa na przykład), lejącą się z pralki wodę albo... przecież wystarczyło trochę inwencji i działania, a mój mąż pojechałby na ratunek. Ja miałabym chwilę spokoju i przy sprzyjających wiatrach skończyłabym przynajmniej z tym nieboszczykiem. Niestety, podsunęła mi najgorsze z możliwych rozwiązanie, o czym miałam się przekonać dużo później.

– Niby gdzie? – broniłam się. Bardzo nie lubiłam wyjeżdżać, zwłaszcza bez jakiegokolwiek towarzystwa. Jestem dość lęklwym człowiekiem, książkowym przykładem introwertyka. Odpoczywam po relacjach

społecznych, dobrze czuję się we własnym towarzystwie, unikam niepotrzebnego wychodzenia z domu i panikuję, kiedy mam wyjechać zupełnie sama.

– Gdzieś, gdzie jest cicho. Mamy październik. Sezon nad morzem się skończył. Co prawda pizga tam już złem od morza, ale przecież nie będziesz pisać na plaży – podjudzała moja rodzona siostra.

– Justyna, ja mam lęki, jak mam wsiąść do auta i pojechać na zakupy, a ty mi każesz udać się w pizdu gdzieś samej – zaakcentowałam ostatnie słowo – przeszło sto kilometrów od domu, do jakiejś zabitej już dechami nadmorskiej wsi. A jak się rozbiję po drodze, to kto urządzi nowe mieszkanie?

Moja wyobraźnia, chociaż do tej pory kompletnie wyłączona, napędzana paniką ruszyła z kopyta, podsuwając mi dziwaczne obrazy wszystkiego, co tylko mogło się złego wydarzyć. Muszę tu zaznaczyć, że dupa ze mnie, nie kierowca. Właściwie nigdy nie zamierzałam robić prawa jazdy. Zawsze twierdziłam, że potrzebne mi jak dziura w moście. Zrobię, mówiłam, kiedy wyrosną gumowe drzewa.

Mieszkając w wielkim mieście i mając pod samym nosem co najmniej kilka różnych linii autobusowych i tramwajowych, byłam w stanie dostać się w każdy zakątek mojej metropolii (jak to pięknie brzmi, prawda?). Poza tym korki i parkowanie w centrum nawet mojego anielsko cierpliwego męża wprawiały we wściekłość. Po co mi to?

Potem jednak kupiliśmy nasze wymarzone M-ileś w Grecji, na totalnej wsi, i posiadanie auta stało się

koniecznością. Bez prawa jazdy zakup niezbędnych do życia produktów spożywczych okazał się bowiem niemożliwy do zrealizowania. Mieliśmy tam oczywiście dwa sklepy. W przypadku pierwszego – jedynie raz udało mi się zastać drzwi otwarte dla kupujących, a drugi... no cóż. Jakies tam godziny otwarcia wisiały, ale właścicielka kompletnie się ich nie trzymała. Raz zabrakło nam ziemniaków i pomimo że do sjesty, a co za tym idzie – zamknięcia, zostało jeszcze pół godziny, trzeba było po nie jechać dziesięć kilometrów do innej miejscowości. Rowerem. Niedaleko, mówicie? Biorąc pod uwagę górzysty teren i temperatury przekraczające czterdzieści stopni – kawał drogi. Po tej przygodzie robiliśmy już zakupy na cały tydzień za jednym zamachem.

Podjęłam więc nieodwołalną decyzję – robię prawo jazdy. Pojechałam do Łomży, oczywiście nie sama, bo jak już wcześniej zaznaczyłam, takie brawurowe wyskoki nie były w moim stylu, zrobiłam kurs w dziesięć dni, a w ostatnim zdałam egzamin i wyjechałam jako osoba w pełni zdolna do prowadzenia pojazdów.

Na tym moja praktyka niestety się skończyła, a ponieważ to trening czyni mistrza, a ja swój mocno zaniedbałam, stąd dupa ze mnie, nie kierowca.

– Nie panikuj. Chcesz, to cię zawiozę – zakończyła dyskusję moja siostra.

Mówiłam? Też była winna. Tak mnie zachęcała, tak podjudzała i urabiała, że pomysł wyjazdu zakiełkował w mojej głowie jako jedyne rozwiązanie wkrętarkowego problemu.